

Z TRADYCJI MNISZEJ

7

AUGUSTYN JANKOWSKI OSB

ŻYCIE MNISZE
(2)

AUGUSTYN JANKOWSKI OSB

ŻYCIE MNISZE (2)



TYNIEC

WYDAWNICTWO BENEDYKTYNÓW

Opracowanie graficzne:

JAN NIEĆ

Redaktor tomu:

JANINA DEMBSKA

Imprimi potest: Opactwo Benedyktynów

Tyniec, dnia 26.01.2017

† o. Szymon Hiżycki OSB, opat tyniecki

Wydanie II – Kraków 2017

ISSN 0867-7050

ISBN 978-83-7354-657-8

© Copyright by TYNIEC Wydawnictwo Benedyktynów

ul. Benedyktyńska 37, 30-398 Kraków

tel. + 48 (12) 688-52-90; tel./fax + 48 (12) 688-52-91

e-mail: zamowienia@tyniec.com.pl

www.tyniec.com.pl

Druk i oprawa: TYNIEC Wydawnictwo Benedyktynów

SPIS TREŚCI

MNISZY „ZNAK JONASZA” (Mt 12,39)	7
„DOM BOŻY”	25
<i>CORPUS MONASTERII</i>	41
Z TEOLOGII WŁADZY W RODZINIE MONASTYCZNEJ.....	51
MONASTYCZNA SZKOŁA MODLITWY	69
<i>OPUS DEI</i>	81
<i>LECTIO DIVINA</i>	89
WIARA W UJĘCIU <i>REGUŁY</i>	103
DUCH ŚWIĘTY – NIEZNANY A BLISKI	117
MNICH – KAPŁAN.....	131
<i>PAX BENEDICTINA</i> NA TLE 72 ROZDZIAŁU <i>REGUŁY</i>	145
SKRÓTY	157

MNISZY „ZNAK JONASZA” (MT 12,39)

Jeśliście więc razem z Chrystusem powstałi z martwych, szukajcie tego, co w górze, gdzie przebywa Chrystus zasiadając po prawicy Boga. Dążcie do tego, co w górze, nie do tego, co na ziemi. Umarliście bowiem i wasze życie jest ukryte z Chrystusem w Bogu (Kol 3,1nn).

Te słowa, skierowane do chrześcijan, których Apostoł Paweł nigdy nie widział, oddają związek, jaki zachodzi między centralną tajemnicą chrześcijaństwa – zmartwychwstaniem Chrystusa a naszym życiem ascetycznym. Słowa są skierowane do chrześcijan w ogóle, a my dzisiaj prawie z zakłopotaniem słuchamy tych słów jako skierowanych do nas – tak są one mocne. Ojciec Święty w Kielcach 3 czerwca 1991 roku na spotkaniu z zakonnikami te właśnie słowa wziął za przedmiot swojego komentarza. Na czym polega to nasze *esse* – istnienie, „bycie” monastyczne, skoro *agere sequitur esse* – działanie idzie w ślad za istnieniem? Jest niezwykle ważną rzeczą zorientować się, co to jest – jak się dzisiaj modnie a słusznie mówi – charyzmat życia monastycznego. Drugiemu Soborowi

Watykańskiemu zawdzięczamy to, że wprowadził tak bardzo bogate ujęcie różnych charyzmatów właśnie w zakresie życia zakonnego. Konsekwencją Soboru było zobowiązanie wszystkich zakonów do rewizji swoich konstytucji, i wszędzie ma być uwzględniony na początku charyzmat tego właśnie instytutu zakonnego. Być zakonnikiem to nie jest jedno i to samo, co być mnichem. Trzeba więc, abyśmy odkrywali prawdziwe *esse* monastyczne.

W tym celu chciałbym sięgnąć do naszej tradycji i ukazać niektóre aspekty życia monastycznego, zwłaszcza benedyktyńskiego. Drogi osobiste każdego z nas mogły być dotąd bardzo różne, jednakże wszystkich obowiązuje wierność temu charyzmatowi. Jest to zadanie wciąż do pewnego stopnia aktualne. Na początku może się niejednemu zdawać: „Chcę być zakonnikiem, Tynieć jakoś wpadł mi w oko z takich czy innych względów, dlatego próbuję być mnichem”. Tymczasem trzeba właśnie sobie zdać sprawę, że mnich – umyślnie tego tytułu teraz używamy z pewnym naciskiem – to nie to samo co zakonnik. Kiedy formułowano nowy kodeks prawa kanonicznego, był także projekt, żeby tam wprowadzić pojęcie mnicha, różne od pojęcia zakonnika. To nie przeszło dlatego, że prawo kanoniczne ujmuje sprawy od strony struktury Kościoła. Jesteśmy mnichami-cenobitami – tym się różnimy np. od kamedułów – jako tacy

jesteśmy miniaturą Kościoła. To wszystko musimy mieć na względzie, rozważając tradycje naszego monastycznego *esse*. Znamienne jest to, że niedawny jubileusz św. Benedykta ukazał całemu światu w najrozmaitszych sympozjach i artykułach, do jakiego stopnia wbrew pozorom jesteśmy aktualni. A pozory są takie: dzisiaj potrzeba ludzi idących w świat, człowieka dającego bardzo żywe świadectwo i działającego na te rzesze, które są znowu obojętne. Z całą pewnością wiele zgromadzeń czynnych, apostoelskich, temu charyzmatowi jest wiernych, i to jest bardzo dobre. Niemniej pytanie, które często zadają sobie ludzie świeccy, mówiąc o zakonach: Co oni robią? – w stosunku do mnichów jest źle postawionym pytaniem. Ono powinno brzmieć: Kim oni są? – bo robić to oni mogą rzeczy bardzo różne. Najlepszy dowód, że w naszej rodzinie benedyktyńskiej jest ogromna rozpiętość zadań czynnych – począwszy od apostoelskich w Trzecim Świecie, poprzez typowo parafialną pracę, która jest prowadzona na przykład w Austrii i na Węgrzech, poprzez różne szkolne instytuty, rozwijające swą działalność w zachodniej Europie, aż po najrozmaitsze ośrodki głębokiej kultury humanistycznej, rozsiane po całym świecie. Robi się bardzo różne rzeczy, a jednak jest się wszędzie jednym i tym samym. Nad tym naszym *esse* monastycznym tu się zastanowimy.

Mnich – to po grecku *monachos*, od *monos* – jeden. U Plotyna, filozofa neoplatonika, mającego wspaniałą intuicję Boga, rysuje się ideał tego, który jest *solus cum Solo* – „sam z Jedynym”. W życiorysie św. Benedykta to właśnie uwypuklił tak mocno św. Grzegorz w *Dialogach*, że *habitabat secum* – „sam zamieszkał ze sobą” w początkach swego pustelniczego życia, pragnąc tylko Bogu – *Soli Deo* – się podobać, istnieć dla Boga samego. Samotność to pierwszy aspekt tego znamienego odosobnienia od świata, łączący się z *monos*. Musimy sobie z tego ciągle zdawać sprawę, inaczej zagubimy swój charyzmat. „Zerwać ze sposobem postępowania tego świata” – mówi jeden z dobrych uczynków naszej *Reguły* (4,20). Ale oprócz samotności trzeba zaakcentować także jednolitość powołania, jego wewnętrzną zwartość. To wszystko zmierza do jednego – do Boga, i tu chciałbym bardzo mocno podkreślić: Boga chrześcijańskiego, bo monastycyzm jest zjawiskiem sięgającym poza chrześcijaństwo. Coraz większe zainteresowanie budzą dzisiaj mnisi buddyjscy – ale samo szukanie Absolutu, które jest wspólne całemu monastycyzmowi, nie wystarcza nam. Współczesny teoretyk Dom Pierre Miquel, opat w Ligugé, zwraca uwagę na to, że stosunek mnicha do Boga winien być stosunkiem do wszystkich trzech Osób Trójcy Przenajświętszej. Choćby nawet nie był – jak on mówi – świadomie

zamierzony, to jednak musi się sprawdzać w każdym z nas stosunek do Trójcy Świętej w szczególny sposób. Ma to być: duch synowski w stosunku do Boga Ojca, który jest w niebie, gotowość przyjmowania życia od Niego (bo to znaczy mieć kogoś za ojca); w stosunku do Drugiej Osoby boskiej – duch braterstwa, który implikuje miłość bratnią, żeby Chrystusa widzieć i szukać w braciach, zaczynając od naszego najbliższego otoczenia. Ktoś dowcipnie kiedyś powiedział, że bardzo łatwo jest nam miłować Murzyna w środku Czarnego Lądu, a bardzo trudno brata, który klęczy obok. W stosunku do Ducha Świętego musi to być nie tyle uleganie jakimś chwilowym stanom egzaltacji, ile stała gotowość słuchania tego, co mówi *Dulcis hospes animae* – „słodki Gość duszy” – jak Go nazywa sekwencja na uroczystość Zesłania.

Celem jest szukanie Boga. Od bardzo trafnej definicji zaczyna swoją książkę *Życie w milczeniu* Tomasz Merton:

Mnich, to człowiek powołany przez Ducha Świętego do wyrzeczenia się trosk, pożądań i ambicji, właściwych innym ludziom, i poświęcenia całego swego życia szukaniu Boga.

I zaraz po tej definicji zwraca uwagę na trudności w szukaniu Boga, gdy Bóg jest niewidoczny, niewidzialny, co więcej – nieuchwytny, transcendentny. Już jednak św. Benedykt z uporem mówi w *Regule*

o szukaniu Boga. Ale co to znaczy szukać? Jest to biblijne wyrażenie – Hebrajczyk dobrze wiedział, że Jahwe nie jest uchwytny, nie da się zamknąć ani w Namiocie Spotkania, ani potem w świątyni, a jednak człowiek może Go osiągnąć, lecz nie zawładnąć Nim, jak bywało z bogami pogańskimi. Szukać Boga trzeba tak, jak osoba szuka Osoby. *Szukam, o Panie, Twojego oblicza* (Ps 27,8) – deklaruje Psalmista. Hebrajczyk przecież wiedział, że Bóg nie ma oblicza tak jak człowiek, a jednak używał tego porównania, dlatego jest ono ciągle dla nas ważne. „Szukać oblicza” – to osobisty stosunek do Boga, to znaczy modlić się nie tylko wyuczonymi słowami, lecz modlić się sercem. Żywa wiara w Boga, z którym się obcuje, bo On pierwszy rozpoczął dialog – oto, co charakteryzuje chrześcijanina w ogóle, a w czym mnich przede wszystkim ma się „specjalizować.”

Omówimy z kolei niektóre określenia, jakie w ciągu wieków nadawano życiu zakonnemu. Mianowicie dawniej określano je jako „życie anielskie”, tak że nawet habit mnicha nazywano *vestis angelica* – anielski strój. Zestawmy to z naszą chęcią zdejmowania habitu. Co ma nami kierować: świadectwo czy wygoda? Nosić habit – to pokazywać, że tacy ludzie istnieją. Oczywiście, każdy powie, że to sprawa zewnętrzna, bo trzeba być w sercu mnichem. *Cucullus non facit monachum* – przysłowie też średniowieczne. Tak,

sam strój nie uczyni mnichem, ale właśnie przypomina, że trzeba pokazywać „życie anielskie”. W tym określeniu wzięta jest pod uwagę nie tyle sama czystość, ile – powiedzielibyśmy – funkcja anielska. Konstytucje Kongregacji Angielskiej benedyktynów zawierają takie znamienne zdanie, które o nas wszystkich można powtórzyć:

Naszym głównym zadaniem jest czynić na ziemi to, co czynią aniołowie w niebie.

Znowu w związku z tym jakże zrozumiałe jest hasło: *Operi Dei nihil praeponatur* – „nad liturgiczną służbę Bożą niczego wyżej stawiać nie można”. To jest właśnie „życie anielskie”. Oczywiście, mogą być powody i są dla indywidualnych zwolnień, ale nie ma powodu do całkowitego zwolnienia, poza przypadkiem choroby, z oficjum pod pretekstem, że będę lepiej działał po apostołsku. Ojcowie Kościoła mówią, że człowiek zastąpił upadłego anioła. Owe dziewięćdziesiąt dziewięć owieczek z ewangelijnej przypowieści – to świat anielski, a ta jedna zagubiona – to ludzkość. Oczywiście, to jest aplikacja, a nie sens literalny Pisma Świętego. Ale jest tu także trafne rozumowanie, iż człowiek ma się dostosować do harmonii całego wszechświata, do chórów, do tych „miriad miriad”, czyli niezliczonej ilości, duchów czystych. Musimy pamiętać, że my, mnisi, rekom-

pensujemy w jakiś sposób nieoddawanie chwały Bogu ze strony innych ludzi i że nasza gorliwość dla *opus Dei*, dla liturgii, ma płynąć z takich zwłaszcza pobudek. Nie tylko chcemy pokazać piękny styl, żeby nas inni naśladowali, ale pokażmy ludziom, że nie ma nic ważniejszego nad oddawanie czci Bogu. Otrzymałem kiedyś list od jednej pani, pracownika nauki, która w nim opisuje, jak przyjechała do Tyńca i weszła podczas naszych nieszporów do kościoła. Kościół był pusty, a my sami śpiewaliśmy nieszpory. Dalej snuje takie refleksje: „Znalazłam się wśród tych ludzi, nie rozumiejąc nawet, co śpiewają, bo nie znam języka, ale miałam jedną świadomość, że – bez racji duszpasterskich – ci ludzie wiedzieli, po co tam są”. Otóż o to chodzi, żebyśmy realizując nasze życie mniszce jako anielskie, wiedzieli, po co w chórze jesteśmy. *In conspectu angelorum psallam tibi – będę śpiewał Ci wobec aniołów* (Ps 138,1). To dobre towarzystwo. *Przystąpiliśmy do niezliczonej rzeszy aniołów, na uroczyste zebranie* (Hbr 12,22) i pamiętajmy, że nasz chór – to nasze *uroczyste zebranie* pośród duchów czystych wielbiących Boga. Dlatego za nasze nieuniknione braki i pomyłki przepraszamy, klękając. Te tzw. satysfakcje nasze powinny nas jednak ciągle pobudzać do tego, żeby było lepiej. Z całą pewnością możemy stale dokładać starań, by ta nasza funkcja anielska była coraz lepiej wykonywana.

Jednakże nie sam chór jest dla nas centrum życia, nie samo *opus Dei* wyrażone psalmodią, ale przede wszystkim Eucharystia. To jest „biosfera” mnicha. Ta Eucharystia, do której można odnieść słowa z Listu do Hebrajczyków:

Jedną ofiarą udoskonalił na wieki tych, którzy są uświęceni (Hbr 10,14).

Oczywiście, autor ma na myśli ofiarę krzyża, ale my wiemy, że ona jest uobecniata w Eucharystii.

Mamy więc bracia pewność, iż wejdziemy do Miejsca Świętego przez krew Chrystusa. On nam zapoczątkował drogę nową i żywą przez zasłonę, to jest przez ciało swoje (Hbr 10,19n).

Przez tę zasłonę właśnie idziemy do Niewidzialnego.

Stosunkowo późne, ale bardzo trafne określenie, które się pojawia w naszej tradycji, to: „Mnich jest człowiekiem eschatologicznym” (o. Klemens Lialin). Co to znaczy? Sztuka często ukazywała pustelników czy mnichów z trupa czaszką. „Śmierć nadchodzącą mieć codziennie przed oczyma” (RB 4,47) – to też jest jakaś eschatologia. Nam jednak nie chodzi o ten wniosek płynący z eschatologii czysto indywidualnej, o pamięć o śmierci, która się zbliża nieuchronnie, a która wszystko zabierze i wszystkich postawi przed sądem. Taki wniosek jest wspólny wszystkim

ludziom. Mnich jest człowiekiem eschatologicznym na trochę inny sposób. On w Kościele, wewnątrz Kościoła, reprezentuje tych, którzy najwymowniej i konsekwentnie realizują te słowa z końcowego rozdziału Apokalipsy: *Duch i Oblubienica mówią: „Przyjdź!”* (Ap 22,17). Duch Święty, inspirator całej liturgii Kościoła, i Oblubienica–Kościół zgodnymi głosami przyzywają paruzję Chrystusa, którą trzeba pojmować nie jako obraz z sekwencji *Dies irae dies illa* – ale raczej jako radosne spotkanie z Oblubieńcem. W jakim jeszcze sensie można powiedzieć, że mnich jest człowiekiem eschatologicznym? Wielki teoretyk życia zakonnego, sam były jezuita, niedawno zmarły Hans Urs von Balthasar, mówi tak:

Mnich dobrowolnie od początku stanął wobec kresu, do którego człowiek w świecie zdąża stopniowo i nie-ubłaganie, aż do zupełnego ogołocenia przed Bogiem. Palącą się świecę trawi ogień, nie ma więc ona prawa wymagać, by pozostawała w całości; kto by stawiał taki warunek, dawałby poznać, że nie rozumie centralnego aktu kontemplacji¹.

Oto związek owej tęsknoty charakterystycznej dla kontemplacji z rzeczami ostatecznymi.

Tęsknota za przyjściem Chrystusa była i jest jednym z istotnych elementów całego życia mnisze-

¹ H.U. VON BALTHASAR, *Duch chrześcijański*, Poznań 1976, s. 141.

go, jak twierdzi opat Ildefons Herwegen. Centrum wszystkiego jest misterium Chrystusa i nasz związek z tym najważniejszym Jego misterium, z Paschą, którą On sam zapowiedział jako wypełnienie *znaku Jonasza* (Mt 12,39). To odróżnia nas radykalnie od wszystkich mnichów tylko humanistycznych, na przykład buddyjskich. To, co św. Paweł powiedział o sobie i o innych apostołach, mnich ma prawo i obowiązek o sobie powiedzieć:

Nosimy nieustannie w ciele naszym konanie Jezusa, aby życie Jezusa objawiło się w naszym ciele. Ciągłe bowiem my, którzy żyjemy, jesteśmy wydawani na śmierć dla Jezusa, aby życie Jezusa objawiło się w naszym śmiertelnym ciele (2 Kor 4,10n).

W cytowanym liście św. Pawła jest wyraźne nawiązanie do męczeństwa krwawego, ale tradycja monastyczna już od czasów św. Hieronima podkreśla ten właśnie moment, że życie mnicha jest życiem męczeńskim. Niekoniecznie musi to być męczeństwo fizyczne, choć ono jest za łaską Bożą dopełnieniem świadectwa. Mamy raczej mieć na uwadze pierwotne znaczenie greckiego słowa „martyres” – *Będziecie moimi świadkami* (Dz 1,8). Ludy słowiańskie, a więc także Polacy, w *martyria* znalazły element męki. *Martyr* to ten, którego męczą – to zostało wydobyte na pierwszy plan. Języki zachodnie tego w źródłosłowie nie mają: francuskie *le martyre*,

włoskie *il martirio*, niemieckie *das Martyrium* uwydatniają przede wszystkim świadectwo. Św. Hieronim mówi o pierwszej płaszczyźnie – płaszczyźnie walki męczeńskiej – w ten sposób:

Świat, nasza rodzina, nasze ciało, nas prześladują. W jakąkolwiek stronę się obrócę, wszędzie prześladowanie. Moje oko mnie prześladuje – chce zabić moją duszę, moje niegodziwe pragnienia mnie prześladują. Nie sądzicie, że tylko ten, kto przelał krew, dostąpił męczeństwa. Ciągłe jest martyrium – męczeństwo, i jest ciągle możliwość wyrzeczenia. Ja dzisiaj zdaję się być mnichem, ale czy nie porzucam mojego powołania, mojej profesji, gdy zapieram się Chrystusa? A jeśli wyrzekam się Chrystusa w czasie pokoju, to co zrobię w czasie prawdziwego prześladowania?²

Mozna to wszystko streścić w jednej myśli: moment wyrzeczenia w męczeńskim życiu mnicha oznacza to, że dawny w nas człowiek musi być ciągle skazywany na śmierć, i to bezwzględnie. Tutaj szczyt osiąga nasza ofiara w cnocie posłuszeństwa, która ze wszystkich cnót jest najtrudniejsza. Wiemy dobrze, iż rozmaite trudności w prężnym zarządzaniu życiem klasztoru biorą się z oporów w zakresie posłuszeństwa. Nie przejawia się to zazwyczaj w formie: „Ja nie zrobię!” – z tym się nie spotkałem

² *De persecutione Christianorum*, wyd. G. MORIN, Maredsous 1897, (Anecdota Maredsolana, 3/ 2), s. 402 (przekład własny).

ani razu, ale: „To nie dla mnie. Ja tego nie potrafię”. Gdybyśmy sobie jednak powiedzieli konsekwentnie, że chcemy umrzeć dla siebie, ileż by nasze życie cenobityczne zyskało właśnie prężności i dynamizmu. Gdzie są źródła naszych oporów? Bywa, że ktoś się rzeczywiście nie nadaje do podjęcia jakiejś funkcji, ale w ilu wypadkach cechy usposobienia uniemożliwiają mianowanie, bo się nie pracuje nad sobą, nie chce dla siebie obumrzeć. Tymczasem sens naszych wyrzeczeń i tego największego z nich – wyrzeczenia się własnej woli na tym polega, że mamy doskonalić nasze życie, tak aby stało się ono naprawdę życiem dla Chrystusa, aby było czytelnym świadectwem naszej wiary i naszego powołania.

Ale dlaczego mówimy tu ciągle o umieraniu? Otóż dlatego, że misterium Chrystusa jest w centrum całego chrześcijaństwa, życie zaś monastyczne nie jest niczym innym jak tylko próbą życia prawdziwie chrześcijańskiego. Ewangelia nie nakreśla nam jakiegoś jednego, konkretnego zadania, lecz ogarnia całe nasze życie. W Księdze Wyjścia znajdujemy takie dziwne Boże słowa: (...) *żaden człowiek nie może oglądać mojego oblicza i pozostać przy życiu* (Wj 33,20). Oczywiście, odnoszą się one do niemożliwego na tej ziemi widzenia Boga bezpośrednio, ale bardzo słusznie w naszej tradycji z tego właśnie zdania wyprowadzono wniosek ascetyczny: jeżeli chcesz oglądać

Boga, to nie tylko musisz umrzeć fizycznie, bo jedynie w niebie, gdy umieramy w stanie łaski, osiągalne jest światło chwały – *lumen gloriae*, ale musisz już tu dla siebie umrzeć, ponieważ dla siebie umierając, zaczynasz Boga widzieć. Nie jest to jeszcze wizja uszczęśliwiająca, ale raczej uszczęśliwiające przekonanie, że Bóg jest z nami, że Bóg jest z nas zadowolony. Dlatego te surowe wymagania, które pojawiają się w Liście do Kolosan, są ciągle aktualne:

Zadajcie więc śmierć temu, co jest przyziemne w waszych członkach: rozpuście, nieczystości, lubieżności, złej żądzy i chciwości, bo ona jest bałwochwalstwem. (...) Nie okłamujcie się nawzajem, boście zwlekli z siebie dawnego człowieka z jego uczynkami, a przyoblekli nowego, który wciąż się odnawia ku głębszemu poznaniu [Boga], według obrazu Tego, który go stworzył (Kol 3,5.9n).

Męczeństwo ma mieć u nas wydźwięk pozytywny, ma być naszą odpowiedzią na Eucharystię. Ten, kto przyjmuje Eucharystię, godzi się na to, że Pan będzie go w Siebie przemieniał. Już u Ojców Kościoła często powtarza się ta myśl: z chlebem powszednim jest tak, że spożywając go, my w siebie go przemieniamy, w substancję swego ciała fizycznego, ale spożywając Chleb Eucharystyczny, doświadczamy odwrotnego procesu – to On nas w Siebie przemienia, w tym bowiem momencie jest nie tylko chleb

i wino, ale obecna jest ofiara Chrystusa, i ona nas wciąga do utożsamiania się z Nim. Musimy być gotowi dawać przed ludźmi świadectwo, jak dalece nas ta łaska Eucharystii przemienia. Jest znana zasada scholastyczna św. Tomasza: *sacramenta efficiunt quod significant* – sakramenty to sprawiają, co oznaczają. Przyjmowanie więc Eucharystii i sprawowanie Jej (bo wszyscy razem Ją sprawujemy, choćbyśmy nawet sakramentu kapłaństwa nie mieli) ma dokonać tego, co Ona oznacza: triumfalnego przejścia Chrystusa przez śmierć do życia bez granic.

U Ojców Kościoła występuje bardzo często motyw walki z Szatanem. Nawet dlatego eremici niekiedy wybierali sobie za miejsce życia pustelniczego groby. Szli do walki tam, gdzie Szatan zwyciężył i gdzie jest trwały ślad jego zwycięstwa – śmiertelne szczątki ludzkie. Oczywiście, nie musimy ani tej przesady brać pod uwagę, ani sobie szukać czaszki, aby na nią patrzeć – to są pomoce czysto zewnętrzne, ale walka z tym, który jest sprawcą śmierci człowieka, stanowi nasz obowiązek. To, co kiedyś pisał św. Paweł, trzeba brać na serio:

Przyobleczcie pełną zbroję Bożą, byście mogli się ostać wobec podstępnych zakusów diabła. Nie toczy my bowiem walki przeciw krwi i ciału, lecz przeciw Zwierzchnościom, przeciw Władzom, przeciw rządcom świata tych ciemności, przeciw pierwiastkom duchowym zła na wyżynach niebieskich (Ef 6,11n).

Apostoł bogato ukazuje świat złych duchów, określa ich rolę, wymienia najrozmaitsze ich nazwy. Jego wniosek brzmi:

Dlatego weźcie na siebie pełną zbroję Bożą, abyście w dzień zły zdołali się przeciwstawić i ostać, zwalczysz wszystko. Stańcie więc do walki, przepasawszy biodra wasze prawdą i obłókszy pancerz, którym jest sprawiedliwość, a obuwszy nogi w gotowość głoszenia Dobrej Nowiny o pokoju. W każdym położeniu bierzcie wiarę jako tarczę, dzięki której zdołacie zgasić wszystkie rozżarzone pociski Złego. Weźcie też hełm zbawienia i miecz Ducha, to jest słowo Boże – wśród wszelakiej modlitwy i błagania (Ef 6,13–18).

Nazywa się niekiedy w tradycji nasze życie mniejsze „życiem prorockim”. W jakim znaczeniu? Gdzie jest w naszym życiu udział w charyzmacie proroka? Św. Bernard powiedział: „Prorok widzi to i w to się wpatruje, czego inni ludzie nie widzą”. Nasza umiejętność wpatrywania się i nasze zamiłowanie do kontemplowania tego, co niewidzialne, sprawia, że stajemy się przekonującymi prorokami na tym świecie. Także nasz udział w sprawowaniu Eucharystii jest niejako funkcją profetyczną, ponieważ trwać ono będzie do chwili, aż Pan przyjdzie, jest zaś uroczystą proklamacją spotkania się z Chrystusem tu, na ziemi, spotkania jeszcze ukrytego i względnego, po którym nastąpi spotkanie twarzą w twarz.

Określało się też – tutaj chciałbym to dobrze wycieniować – życie mnicha jako życie apostołskie. Nie ma w tym żadnego nieporozumienia, bo trzeba pamiętać, że *vita apostolica* w języku Ojców Kościoła wcale nie oznaczała tego, co dzisiaj, a więc wyjścia słowem i czynem na zewnątrz. *Vita apostolica* oznaczała u Ojców Kościoła życie na wzór apostołów, życie wśród wyrzeczeń, zdanie się na Bożą Opatrzność. Takie życie prowadził Syn Człowieczy, który *nie miał miejsca, gdzie by głowę mógł położyć* (Mt 8,20). Dlatego właśnie ta pierwotna koncepcja: *Oto my opuściliśmy wszystko i poszliśmy za Tobą* (Mt 19,27), stanowi dla nas wyznacznik „życia apostołskiego”.

Na tym tle widzimy, jak wygląda nasze życie cenobitów i jaka jest nasza odpowiedzialność za świat, w którym żyjemy. Nie jest to bezpośrednia odpowiedzialność, taka jak tych, którzy nim rządzą. Odpowiadamy za to, żeby być tym, do czego Bóg nas powołał. To też oznacza realny wpływ na ten świat. Tomasz Merton kończy swoje *Życie w milczeniu* takim zdaniem:

Oto dlaczego tak ważne jest dla mnicha, aby przede wszystkim był tym, do czego został powołany – mnichem. Samotnikiem, człowiekiem „ukształtowanym do samotności” poprzez dobrowolne oderwanie się od wszystkich rzeczy. Ale w samotności swego oderwania się jest on powołany do miłosierdzia daleko bardziej niż

ktokolwiek inny. Bowiem on, który porzucił wszystko – posiada wszystko, on który opuścił ludzi – mieszka w nich wszystkich przez miłosierdzie Chrystusa i on, który wyrzekł się samego siebie dla miłości Boga, zdolny jest współpracować dla zbawienia swoich bliźnich z niezwykłą mocą samego Boga³.

Takie pojmowanie powołania mniszego pozwala na rozwiązanie częstych – zwłaszcza w żeńskich zgromadzeniach – konfliktów na tle miłości rodziny, niekiedy zagrażającej miłości Boga.

Psalmista w pięknym psalmie paschalnym wyraża swą radość z „działu”, jaki otrzymał od Boga. Czy my moglibyśmy o naszym życiu zakonnym powiedzieć:

Sznur mierniczy wyznaczył mi dział wspaniały i bardzo mi jest miłe to moje dziedzictwo (Ps 16,6)?

³ T. MERTON, *Życie w milczeniu*, przekł. BENEDYKTYNI TYNIECCY, TM 3, 2015, s. 84.